



(Śmierć słynnego człowieka. — Monsieur Philippe cudowny lekarz i spirytysta. Pobyt jego na dworze carskim. — Powrót do Francji. — Cudowny lekarz Jakób. — „Czerwony śmiech“. — Taniec obłąkanych żołnierzy rosyjskich.

We Francji, w małej mieścinie prowincjonalnej umarł znany do niedawna i bardzo wpływowy człowiek: *monsieur Philippe*. Paryski dziennik „Gaulois“ podał zajmujący artykuł o panu Philippe, który nie był wcale podobnym do naszego Filipa z Konopi, skoro na dworze carskim umiał wyrobić sobie tak wpływowe a przytem intrantne stanowisko.

Monsieur Philippe, rzeźnik z zawodu, nazywał się Filip Laudard. Gdy jeszcze w Paryżu woły zabijał i sprzedawał mięso, już wtedy opowiadał, że przemawiają do niego zaświatowe głosy tajemnicze i że potrafi uzdrowić zapomocą modlitwy i siłą swej woli. Kilka „cudownych“ uleceń, które były dziełem przypadku, zjednało mu pewną sławę. Filip Laudard, wyzyskał te pomyślnie chwile. Wcisnął się do grona kabalistów i mistyków, a że był pomysłowy, wygadany i odważny aż do bezczelności, więc zjednał sobie wkrótce ogromne wzięcie pośród „wierzących“ i prawdziwą, paryską sławę.

Car Mikołaj II, człowiek słabej woli, zdenerwowany i zabobonny, dowiedziawszy się o Filipie Laudard i jego „cudach“, kazał go sprowadzić na dwór w Petersburgu. Otoczenie cara nie przeszkadzało temu, wiedząc, że z pomocą mistycznego rzeźnika tem silniej opłacze cara. Monsieur Philippe oczywiście pospieszył na dwór carski i odrazu wyrobił tam sobie poczesne stanowisko. Car i carowa ślepo wierzyli nowemu prorokowi i obsypywali go upominkami. Monsieur Philippe był z początku skromny, ale gdy się rozpatrzył w sytuacji, zaczął snuć plany, daleko sięgające i tajemnie wyzyskiwać swój wpływ na cara. Naprzykład pewnego razu szef rosyjskiej tajnej policji w Paryżu został nagle usunięty ze swojej w kilka dni po raporcie pisemnym, w którym na podstawie informacji paryskich przedstawił w ujemnym świetle pana Filipa. Sam car dwa razy wystąpił z życzeniem wobec paryskiego wydziału lekarskiego i wobec rządu francuskiego: ażeby panu Filipowi wyrobić stopień doktora medycyny. Gdy jednakże pan Filip zaczął zanadto jednać sobie łaski cara i carowej, gdy dworacy i dygnitarze spostrzegli, że wpływ jego staje się dla nich niebezpiecznym, postanowili usunąć go. Rozpoczęła się gra intryg, a partyę przegrał *monsieur Philippe*. Car odwrócił się od niego i pomysłowy eks-rzeźnik przed dwoma laty musiał opuścić dwór carski. Powrócił do Francji z pełnemi kieszeniami i tam oddał się dalszemu cudownemu leczeniu. Umarł przed kilku dniami, syt sławy i uznania.

Przy tej sposobności należy dodać, że podobnie i po naszych wsiach trudnią się leczeniem chłopscy lekarze cudowni, znachorzy i znachorki, owczarze i domorośli chirurgowie do „naprawiania“ zwichniętych lub złamanych rąk i nóg, tak i we Francji mnóstwo jest podobnych samozwańczych lekarzy, którzy zbierają piękne fortuny a w dodatku uważają się za dobroczyńców ludzkości. Swoją drogą przyznać trzeba, że są pomiędzy nimi wyjątkowe osobniki, umiejące nieźle „naprawić“ zwichniętą, to jest „popsutą“ rękę lub nogę.

Najsławniejszym we Francji cudownym lekarzem w ostatnim stuleciu był szeregowiec z pułku żuławów, który służył przy muzyce gwardyjskiej i znany był powszechnie pod imieniem Jakób. W obozie pod Chalono w 1866 Jakób dokonał tyłu cudownych kuracji pośród swoich towarzyszków broni i okolicznej ludności, że marszałek Canrobert udał się do niego po lekarską poradę ze swoim reumatyzmem. Ale tym razem nie udała się dzielnemu Jakóbowi kuracja, zapewne z tego powodu, że marszałkowi Canrobertowi brakło wiary, nieodzownej w takich wypadkach.

Jakób trudnił się nie tylko praktyką lekarską, lecz także i teorią. Napisał książkę pod tytułem: „Naturalna sztuka lekarska, albo sposób zachowania zdrowia i leczenia samego siebie.“ Wydawał także czasopisma p. t. „Revue Théurgique“ (Przeгляд teurgiczny, to znaczy do wywoływania duchów). Opuściwszy służbę wojskową, zamieszkał Jakób w Chalons, gdzie nabył mały domek na własność. Nad drzwiami tego domku widniał napis:

„Kriszna“ — imię indyjskiego mędrca. Jakób wobec swoich pacjentów zawsze wywoływał ducha Kriszny, odmawiał tajemnicze modlitwy, przez pół godziny kazał chorym stać nieruchomo, a potem dotykał ich i dawał im rady. Odchodzili wprowadzić nieuleczeni, ale zadowoleni i pełni wiary w skuteczność tej metody lekarskiej. I to wiele znaczy dla naiwnych prostaczków.

Niedawno ukazała się w Rosji pod tytułem „Czerwony śmiech“ książka, której autor Leonid Andrejew opowiada wstrząsające sceny na tle oblędu, panującego pośród armii rosyjskiej w Mandżurii. Książka ta w Rosji i za granicą wywarła ogromne wrażenie, ale zawarte w niej sceny dantejskie wywoływały u wielu wątpliwość co do swej prawdziwości. Obecnie pewien oficer rosyjski, który powrócił z placu boju na dalekim Wschodzie, ogłosił w „Gazecie Odeskiej“ szereg wrażeń obozowych, które opisom Andrejewa dają zupełne świadectwo prawdy.

Wieczorem po przegranej jak zwykle bitwie — opowiada ów oficer — rozbiliśmy obóz. Naokoło smutne twarze, ciężkie serca, ludzie śmiertelnie znużeni. Nie było drzewa, ażeby ogień rozniecić, nie było żywności, nie było polowych lazaretów dla umieszczenia chorych. Na ciele, odzianem lichą pękła skóra skutkiem mrozu, który sięgał co najmniej 25°. Co chwila przybywali do obozu maruderzy, którzy opowiadali, że w polu słyszeli zewsząd jęki i wołania o pomoc rannych żołnierzy. Musimy ich ratować! — zawołałem — kto ze mną pójdzie?

Nikt nie odpowiedział. Udałem się do generała. Odwrócił się ode mnie i poszedł dalej. Wyższy rangą lekarz, zagadnięty przeze mnie, odpowiedział: „A co zrobimy z rannymi? Nie mamy noszów, nie mamy lekarstw ani opatunków, nie mamy potrzebnych przyrządów chirurgicznych, nic nie mamy“. I również poszedł dalej po tej odpowiedzi, dodawszy słowa: „Dobra noc“. Udało mi się wyszukać kilka noszów i zgromadzić kilkudziesięciu ochotników, z którymi wyruszyłem w pole.

Noc była ciemna, więc zapaliliśmy pochodnie. Ale już wnet za obozem jęki rannych wskazywały nam lepiej drogę niż światło. Od czasu do czasu wchodziliśmy niespodziewanie na stosy trupów ludzkich i ciał zwierzęcych, to znowu jakieś ręce chwyciły mnie za nogi i konwulsyjnie ścisnęły je. Raz takie ręce chwyciły jakby w żelazne sploty nogi moje. Stanałem i uczułem, że w obuwiu moje wpijają się zęby, a równocześnie usłyszałem jakby skowyt psa. Mrowie mnie przeszło, gdy ujrzałem rannego, niemającego nóg od samych bioder. Krwawy tułów. Nie można go było oderwać od nóg moich, o ratowaniu go zaś ani mowy nie było. Dobito go więc kolbami. Tak skończył wierny sługa cara.

|| Po kilku godzinach mieliśmy już wrócić do obozu, gdy nagle usłyszeliśmy z dala krzyki i wycia. W brudno-żółtem świetle ujrzałem śmy kilkudziesięciu nagich ludzi, którzy wywijając rękami i wyjąc, tańczyli do upadłego. Przy 25° mrozu tańczyły nagie postacie, pokryte ranami i czarną skrzepłą krwią. Niektórzy, pozbawieni nóg, czułą się, wydając z bólu nieludzkie głosy, ale koniecznie chcieli brać udział w tym strasznym tańcu. Niektórzy mieli w rękach rewolwery, karabiny, pałasze i machali nimi groźnie. Gdy nas ujrzała, rzucili się ku nam, wołając: „Idźcie sobie precz!“ Padło kilka strzałów i jeden żołnierz z mojego oddziału stracił życie od kuli: Co miałem robić? Cofnąłem się z powrotem do obozu.

Owi ludzie, tańczący nago, byli obłąkanymi. Długo jeszcze słyszałem ich krzyki, wracając do obozu. Zimno rychło zapewne położyło koniec ich szalonej zabawie. Żaden z nich z pewnością nie doczekał świtu. Lepiej dla nich. W Rosji niema dla nich miejsca — niema go dla obłąkanych i szlachetnych.

k. e.

Legenda murzyńska.

Stwórca wszechświata, wielki odwieczny Duch miał dwóch synów.

Obaj ci synowie, Rakorjago i Ravao wraz ze swemi niańkami zstąpili z nieba aby zobaczyć, co się dzieje na ziemi. A wtedy w cudownym raj, nie znając ani pory deszczowej, nie znając trudów, ani wojny, żyli w przyjaźni ludzie i zwierzęta.

Gdy przyszli na ziemię boscy młodzieńcy, pokochało ich wszystko, co żyło i co było martwe, gdyż wszystkim i wszystkiemu nieśli radość i wesele.

Ale pewnego razu przyszli młodzieńcy nad morze i szli po falach, igrając z robakami, które sznurem pływęły ich śladem, bawiąc się z ptakami, co stadem krążyły nad głowami pacholąt.

Zapadła noc ciemna, burzliwa. Ryby schowały się na dno, ptaki pofrunęły do ciepłych gniazd swoich. Obloki, które igrały na niebiosach i rzucały błyskawicami, spłynęły w morze deszczem kroplistym.

A gdy słońce weszło, nikt już nigdzie nie zobaczył boskich młodzieńców.

I zasmucił się świat cały.

Niańki pacholąt poczęły ich szukać. Wszystko, co żyło: ludzie, ptaki, zwierzęta, wyruszyło szukać młodzieńców. Ruszyły się z miejsca nawet drzewa, krzewy, kamienie.

Szukali długo. Lata upłynęły, gdy wreszcie wszystko, co żywe było i nieżywe, zwróciło się do Stwórcy świata i poczęło błagać:

— Znużeni jesteśmy! Wskaż nam, gdzie synów twych szukać? Gdzie radość nasza? Gdzie wesele nasze? Już nam sił zbrakło, by szukać dłużej, a bez nich ciężko nam na ziemi.

— Zostańcie tam, gdzie się każdy z was znajduje! — rozkazał wielki Duch, Stwórca świata. — Synowie moi wszędzie. Wszędzie z sobą macie radość swą i wesele. Zostańcie na miejscu i tego, co wam potrzeba, szukajcie w sobie samych.

Spełniły się słowa Potężnego.

Ludzie, rozsypani w poszukiwaniach po całej ziemi, tam zostali, gdzie komu wypadło. Zwierzęta i kamienie, które zagłębiły się w ziemię, by szukać młodzieńców, zostały tam, gdzie je rozkaz zastał. To też krety, robaki, węże — rzadko wychodzą na powierzchnię ziemi; kamienie tylko ręka ludzka z ziemi wydobywa. Drzewa, które częściowo zdążyły się w ziemię zagłębić, wrosły w nią korzeniami.

Tylko woda, na której po raz ostatni widziano młodzieńców, woda, z której powierzchni zniknęli, woda, która milczała i nie powiedziała, gdzie się podzieli młodzieńcy, skazana została, aby wiecznie falowała, wiecznie była w ruchu i nie zaznała spokoju aż do końca wieków.

Kącik humorystyczny.

Współczesne panny.

— Posiadasz rzeczywiście piękny zbiór pocztówek, kochana siostrzeniczko.

— Nieprawda? A co najważniejsza — każda od innego narzeczonego.

Podejrzane.

Gość: A cóż to za wino gospodarz mi podał?

Gospodarz: Chablis!

Gość: Co pan mówisz! To prawdopodobnie tylko imię chrzestne!

Z filozofii codziennej.

Największym posagiem bywa często oszczędność. Tak zwana „opinia“ przeważnie bywa rodzaju żeńskiego.

Największe brudy znajdują się właśnie u ludzi, co mają dużo na... mydło.

Z rozmów małżeńskich.

Żona: Wejdziesz nareszcie ty pijany łotrze — żebym ci mogła za drzwi wyrzucić.

Na gimnastyce.

Nauczyciel: Panowie, raźniej, raźniej. Takie trochę upału powinno się przyjąć zupełnie na zimno.

Teoria a praktyka.

Ojciec: I znowu sprawiłeś mi ciężkie zmartwienie i znowu skłamałeś. Przrzeknij, że to było raz ostatni.

Mały Jasio: Przrzekam tatusiowi!

— Dobrze! Zajrzyj no kto tam dzwoni — jeżeliby komornik, to powiedz, żem wyjechał!

Podejrzane.

Doktor: Nie powinnaś pani brać tak lekko choroby męża. Należałoby pamiętać, iż dopóki ja go leczę, nie wyszedł jeszcze z niebezpieczeństwa.

Objaśnienie.

Student: Czemu to ciebie teraz wcale nie widać na wykładach?

Student B.: Bo albo tak brzydko, że wolę siedzieć w domu, albo tak ładnie, że wolę chodzić na spacer!